

http://www.rp.pl/artykul/518156_Kolodko_Jak_obnizac_podatki.html

Jak obniżyć podatki

Grzegorz W. Kolodko 04-08-2010, ostatnia aktualizacja 04-08-2010 23:54

Partie wyrosłe z „Solidarności” nie mają zwartej koncepcji długofalowego rozwoju społeczno-gospodarczego. Albo zajmują się „sprawliwym” podziałem, albo poprawiają sytuację nielicznych kosztem licznych – pisze były wicepremier



autor: Jakub Ostaloński
źródło: Fotorepa

Na ironię zakrawa fakt, że neoliberalny rząd, który niedawno proponował wprowadzenie podatku liniowego 3x15, będzie teraz podatki podwyższał. A fe! Niejeden raz uprzedzałem, że zaraz po przeprowadzeniu swego kandydata na urząd prezydencki Platforma Obywatelska przyzna – podobnie jak uczyniła to po wyborach do Parlamentu Europejskiego – iż sytuacja gospodarcza, zwłaszcza finansowa, państwa jest dużo gorsza, niż to wcześniej gloszono. No, a teraz to już nawet nieodzowne jest podwyższenie podatków.

Polityczny wstyd

W rzeczy samej – wstyd. Przecież to nie czynniki obiektywne, lecz błędna polityka wymusza podwyżki podatków. Ale rządowi przywódcy i propagandyści na pewno udekać się będą do kolejnych igraszt. Tym razem powiedzą, że podatki trzeba podnieść, bo jest kryzys, aczkolwiek przez ostatnie dwa lata słuchać musieliśmy opowiadania o zielonej wyspie.

Konieczność podniesienia podatków to skutek kryzysu polityki gospodarczej obecnego rządu. Swoje zrobili również uchybienia rządu poprzedniego, który niesłusznie zlikwidował trzeci próg podatkowy. Błędne też było zwiększenie niektórych wydatków, zwłaszcza poprzez populistyczny ruch w postaci becikowego. Pierwsze posunięcie zmniejsza przychody budżetu, drugie zwiększa jego wydatki, nie dając żadnych pozytywnych efektów społecznych.

Na miejscu premiera natychmiast wymienilibym ministra finansów; na miejscu PO wymienilibym premiera; na miejscu społeczeństwa wymienilibym rządzącą partię

Zauważmy, że autorzy tamtych błędów wybory przegrali, co pokazuje, iż nie tak łatwo jest kupować głosy elektoratu populistycznymi czy neoliberalnymi sztuczkami. Neoliberalnymi, gdyż likwidacja trzeciego progu PIT taki miała charakter, a podyktowana była polityczną chęcią rządzącego wtedy Prawa i Sprawiedliwości zaszokowania aspirującej do władzy PO. Paradoksalnie, tamtym posunięciem PiS utrudniło obecnemu PO, bo ona przecież miała obniżyć podatki, a tu akurat dzieje się odwrotnie! Paskudna sytuacja.

Brak koncepcji

Spójrzmy na sprawę szerzej. Podatki można obniżyć, gdy nie eroduje to stanu finansów publicznych. Jedynie odczuwalne obniżki miały miejsce za pragmatycznych rządów lewicowych. Kiedy byłem wicepremierem i ministrem finansów, zlikwidowano podatek importowy i gieldowy, zmniejszono stawki PIT, a przede wszystkim zasadniczo zmniejszono podatki płacone przez przedsiębiorców. Dokonywano się to na ścieżce przyspieszania, nie zwalniania tempa wzrostu. CIT zredukowano z 40 do 19 proc., przy czym niejako po drodze o ich obciążeniu z 32 do 28 proc. zdecydował rząd premiera Jerzego Buźki. Reszta została zrealizowana w ramach „Strategii dla Polski” i „Programu naprawy finansów Rzeczypospolitej”. Co zakładano, w zasadniczej mierze zostało wykonane. Przez pozostałe lata o obniżaniu podatków przede wszystkim mówiono, łącznie z wygadywaniem bredni o podatku liniowym.

Dlaczego można było sensownie obniżyć podatki podczas rządów lewicy, a nie jest to możliwe w czasach posolidarnościowych rządów prawicowych – raz to bardziej neoliberalnych, kiedy indziej bardziej populistycznych? Przy okazji szumnych obchodów trzydziestolecia „Solidarności” warto i na to pytanie odpowiedzieć. Ano dlatego, że partie wyrosłe z tego ruchu nie miały zwartej koncepcji długofalowego rozwoju społeczno-gospodarczego. Zarówno populiści, jak i zwłaszcza neoliberalowie nie potrafili prowadzić gospodarki drogą szybkiego wzrostu. Tego już dowiodły. Albo zajmują się „sprawliwym” podziałem, albo z przeogromną ochotą poprawiają materialną sytuację nielicznych kosztem licznych.

Fundamentalne różnice

Polityka finansowo zrównoważonego rozwoju polega na skutecznym obniżaniu podatków na drodze przyspieszania dynamiki gospodarczej, a nie na jałowych próbach ich redukcji w fazie jej wyhamowywania. Koordynując politykę gospodarczą kilku rządów, zmniejszałem udział wydatków w coraz szybciej rosnącym dochodzie narodowym, ale nie ciąłem ich absolutnego poziomu. Realne wydatki rosły, przyczyniając się do polepszenia materialnego statusu ludności, podczas gdy realne podatki spadały, przyczyniając się do rozkwitu przedsiębiorczości. Udało się tworzyć pozytywną synergię między sektorem realnym i finansami publicznymi.

To są różnice fundamentalne i pryncypialne. Gdy teraz znowu jestem pytany, co bym zrobił w obecnej sytuacji, to odpowiadam, że na miejscu premiera natychmiast wymienilibym ministra finansów; na miejscu rządzącej partii szybko wymienilibym premiera; na miejscu społeczeństwa przy pierwszej okazji wymienilibym rządzącą partię...

Zasadniczy błąd tego rządu to nieumiejętne zareagowanie polityki makroekonomicznej, zwłaszcza fiskalnej, na światowy kryzys gospodarczy, oddziałujący na polską gospodarkę z zewnątrz. Zamiast, jak proponowałem, zastosować pakiet fiskalny zwiększający nakłady publiczne na ożywienie koniunktury w oparciu o krajowe zasoby i moce wytwórcze, prowadzono iluzoryczną walkę o ograniczenie deficytu. Stosowano instrumenty wręcz odwrotne do pożądaných. Odwrotnie zatem muszą być i skutki. Zamiast coraz mniejszego deficytu, jak naiwnie zakładał rząd, jest on coraz większy.

Strukturalny kryzys

Na dłuższą metę deficyt na obecnym poziomie – około 7 proc. PKB – jest nie do utrzymania. Nie dlatego, że deficytu nieprzekraczającego 3 proc. wymagają kryteria z Maastricht oraz unijny pakt stabilizacji i wzrostu. Obecny deficyt jest nie do utrzymania, bo zbyt kosztowna staje się obsługa szybko narastającego długu publicznego. Zarazem państwo jest pozbawione możliwości elastycznego, zadaniowego posługiwania się finansami publicznymi jako głównym instrumentem polityki społeczno-gospodarczej.

Nie da się jakościowo poprawić sytuacji budżetu przez ożywienie samej koniunktury gospodarczej, czyli przyspieszenie tempa wzrostu. A nawet na to przy kontynuacji obecnej polityki się nie zanosi. Nie da się też zmienić odczuwalnie stanu rzeczy przez zwiększenie ściągłości podatków i ograniczenie szarej strefy, co tak chętnie sugerowali politycy obecnie rządzący w czasach, kiedy znajdowali się w opozycji. Teraz o tym jakoś ciszej, a przecież jest tu niemałe pole do popisu. Podejrzewam, że nawet większe niż kiedyś.

Zapaść finansów publicznych ma charakter strukturalny, a nie koniunkturalny. W ostatnich latach przyczyniło się do tego zawężenie bazy podatkowej przez rządy postsolidarnościowe. Siłą rozpędu z wcześniejszego okresu udało się uniknąć recesji w 2009 r., lecz spowodowane wadliwą polityką spowolnienie wzrostu w latach 2008 – 2010 doprowadziło do niewydolności dochodowej strony budżetu i ogólnego kryzysu finansów państwa.

Z deszczu pod rynnę

Teraz na porządku politycznym stoi pytanie, jak podnieść podatki. Nadszedł czas szarpaniny, która ożywi się jeszcze bardziej w raz z wejściem pełną parą w kolejną kampanię wyborczą. I to jej meandry, a nie pragmatyzm i zdrowy rozsądek, rozstrzygną, jakie podatki i na jaką skalę wzrosną. Bo to, że wzrosną, już wiemy. Przecież mówią o tym bez żenady również ci politycy, którzy jeszcze niedawno zązęgrywali się, iż bynajmniej nie ma takiej potrzeby. Mylili się? Klamali?

Niestety, już widać, że dyskusja o zmianach podatkowych nie doprowadzi do racjonalnych decyzji. Z fazy złych rozwiązań jednego rodzaju przejdziemy do wadliwych rozstrzygnięć innego typu, czyli raz jeszcze z deszczu pod rynnę. Dyskutuje się wyrwane z kontekstu kwestie, a to czy podnieść VAT z 22 do 25 proc. (co najbardziej obciąża średnie i uboższe warstwy), czy przywrócić trzeci próg podatkowy (co obciąża wąską grupę najlepiej uposażonej ludności), czy może podnieść składkę ubezpieczeniową lub nałożyć na nowobogackich jakiś podatek majątkowy.

Sytuacja jest już na tyle skomplikowana, że potrzebne jest gruntowne przebudowanie całego systemu finansów publicznych – zarówno jego strony dochodowej, jak i wydatkowej. Tylko kompleksowe i dalekosiężne ujęcie ma ekonomiczny sens. Wskazane jest nie tylko zmniejszenie deficytu budżetowego, lecz odwrócenie tendencji w sferze długu publicznego tak, by przestał narastać, a począł sukcesywnie spadać. Potrzebna jest strategia przejścia w ciągu trzech – pięciu lat do sytuacji, w której dochody budżetu państwa będą wyższe od jego pierwotnych (liczonych bez kosztów obsługi długu) wydatków.

Specjalne rozwiązanie

Taka linia działań nie wydaje się możliwa przy tradycyjnym podejściu do sprawy. Trwać będzie bezproduktywny wyścig rozmaitych pomysłów i w ferworze walk politycznych nadal postępować będzie psucie naszych finansów. Dlatego proponuję, aby reprezentowane w parlamencie partie poszły na niekonwencjonalne rozwiązanie. Spoza osób uwikłanych w bieżącą politykę po którejkolwiek ze stron należy powołać specjalną grupę roboczą, kierowaną przez uznanego bezpartyjnego fachowca, którego wszyscy bezwarunkowo zaakceptują.

Są takie osoby. Taki panel, mając do dyspozycji wszelkie informacje, narzędzia i środki, w tym aparat administracyjny resortów i Kancelarii Sejmu, powinien przedłożyć w ciągu roku kompleksowy program naprawy finansów publicznych. Natomiast kierownice gremiów głównych partii politycznych – w obecnym układzie są to PO, PIS, SLD i PSL – oraz prezydent mają się ex ante zobowiązać, że przyjmą do wiadomości i zgodnie przeprowadzą pakiet przez parlament i wprowadzą proponowane rozwiązania w życie.

Utopia? Jeśli tak, to zostaje inna ścieżka. Narastający bałagan, dewastacja gospodarki i postępująca dezintegracja społeczeństwa. Za kilka lat dojdzie do przekroczenia progu 60-procentowego zadłużenia publicznego w stosunku do PKB, co konstytucyjnie wymusi przedłożenie w kolejnym roku zrównoważonego budżetu. Może to być niewykonalne w demokratycznym trybie. Nawet jeśli wtedy budżet byłby formalnie zrównoważony, to na pewno niezrównoważone będą gospodarka, państwo i społeczeństwo.

Dixi et salvavi animam meam.

Autor jest profesorem nauk ekonomicznych, wykłada w Akademii Leona Koźmińskiego, był wicepremierem, ministrem finansów w latach 1994 – 1997 i 2002 – 2003

Rzeczpospolita